

© Copyright by Wydawnictwo „Nasza Księgarnia”, Warszawa 2016
Text © copyright by Dorota Suwalska, 2016

Konsultacja merytoryczna: Dominika Soćko

Projekt okładki: Katarzyna Bogdańska

DOROTA SUWALSKA

CZARNE
JEZIORA

NASZA KSIĘGARNIA

poniedziałek, 18 sierpnia

Motto

Mylił się Tolstoj, pisząc „Wszystkie szczęśliwe rodziny są do siebie podobne, każda nieszczęśliwa rodzina jest nieszczęśliwa na swój sposób”. Nieszczęśliwe lub – jak to się dzisiaj mówi, żeby pozbawić temat wszelkich cech indywidualizmu – dysfunkcyjne rodziny tysiąc razy opisano, sklasyfikowano i zaszeregowano, przyporządkowując poszczególne przypadki ściśle określonym typom dysfunkcji.

Czy ktoś jednak próbował zdiagnozować szczęście? Stworzyć kategorie, wedle których można klasyfikować szczęśliwe rodziny?

Pokażcie mi pracę naukową, która opisuje określone typy i podtypy szczęśliwych rodzin? Jeszcze trudniej znaleźć dzieło literackie traktujące o rodzinnej harmonii.

Skoro więc każdy przypadek szczęścia jest tak wyjątkowy, niepowtarzalny, niezwykły, intrygujący – czemu opisują kolejny rodzinny dramat?

Czy dlatego, że sam nie zaznałem szczęścia w rodzinie?

Przeciwnie, miłość to chyba jedyna rzecz, która mi się w życiu udało – miłość do kobiety, z którą dzielę życie, i miłość do naszych dzieci.

Otóż... prawda jest banalna. Szczęście bardzo trudno opisać. Trzeba do tego prawdziwego geniuszu. A ja... cóż... jestem zręcznym prozaikiem, ale nic ponadto.

Mówicie, że idę na latwiznę, nie podejmuję wyzwania...

Pewno macie rację.

Przynajmniej częściowo...

Jest bowiem jeszcze jeden powód, dla którego z takim upodobaniem opisuję rodzinne dramaty.

Otóż... każda nieszczęśliwa rodzina ma swą tajemnicę. A któż z nas nie lubi tajemnic?

(Marcin Dreger Wszyscy jesteśmy kosmitami)

I jak tu nie wierzyć w przeznaczenie! Pewnego deszczowego, ni to letniego, ni to jesienno popołudnia (czyli wczoraj) czytałam książkę Dregera, której fragment cytuję powyżej. To nic, że nie podzielałam wielu zawartych w niej poglądów – w sprawie nieszczęśliwych rodzin bliżej mi do Tołstoja – i nienawidzę tajemnic. I tak ją uwielbiam.

– Kobieto! Też tak mam – uradowała się Agnieszka, kiedy opowiadałam jej o książce. – Podoba mi się, kiedy czuję, że autor pisze jakby o mnie. Że sama mogłabym coś takiego powiedzieć...

Czy ja wiem?

To by musiało oznaczać, że własną rodzinę uważam za nieszczęśliwą.

Cóż... Matka z pewnością nie podzieliłaby takiej opinii. Ona z pewnością czuje się w tej rodzinie szczęśliwa. Ma ślicznego małego synka (okaz zdrowia i zaraźliwej pogody ducha, która nawet mnie się chwilami udziela) oraz młodego, przystojnego i sympatycznego (nawet ja go lubię) męża.

Ma też oczywiście mnie.

Ale czy jest z tego akurat powodu szczęśliwa?

No nie wiem...

Wracając do tematu – tamtego deszczowego popołudnia (czyli wczoraj) siedziałam nad *Kosmitami* i snułam refleksje na temat skomplikowanych powiązań między „bólami egzystencjalnymi” (ulubione określenie matki), których ostatnio doświadczam, a opisanymi w książce konfliktami wewnętrznymi (zewnątrznym zresztą też) głównego bohatera. Ogólnie rzecz biorąc, miałam niezły zjazd. Sama nie wiem czemu. Właściwie nic się nie wydarzyło. Nic, co mogłoby usprawiedliwiać mój stan. Czasem już tak mam. Ni z tego, ni z owego nachodzą mnie czarne myśli, a właściwie nastroje, bo gdyby jeszcze chodziło o myśli, można by je z tej czarnej magmy wyciągnąć, przyjrzeć się im i coś z nimi zrobić, dokonać (jak to się ładnie określa) jakichś wglądów, przeredagować ich treść. A tak – nic. Zero konkretów. Tylko ten niepokój nie wiadomo skąd, do którego przyczyn nie sposób się dokopać, mimo zakrojonych na szeroką skalę osobistych prac archeologicznych.

Miałam chyba nadzieję, że *Kosmici* pomogą mi się z tego wyjątkowo upierdliwego nastroju uwolnić... Już starożytni opisywali zjawisko katharsis i – mogę własnym doświadczeniem zaświadczyć – że to nie tylko teoria. Czasem naprawdę działa. Ale nie tym razem, niestety.

Z otchłani wewnętrznego mroku wyrwało mnie puknie do drzwi. Teoretycznie powinnam się ucieszyć. Ale nie. Tylko mnie to rozdrażniło.

– Tak? – spytałam głosem, który z pewnością nie brzmiał jak zaproszenie.

Drzwi uchyliły się i ukazała się w nich nieco zakłopotana twarz Krzysztofa.

Krzysztof to wspomniany już mąż mojej matki i tata mojego braciszka. Nie jest moim prawdziwym ojcem (byłoby to zresztą dosyć trudne w praktyce, ponieważ jest ode mnie starszy zaledwie o 14 lat), więc mówię do niego po imieniu, co nie wszystkim się podoba. Trzeba jednak przyznać, że to bardzo fajny gość – nie mam pojęcia, jak matce udało się złapać tak świetnego faceta. Czasem jednak cholernie mnie wkurza i to właśnie przez ową fajność, którą próbuje wcisnąć wszędzie, gdzie się da (i gdzie się nie da), tam, gdzie jest potrzebna i gdzie tylko zawadza, z naciskiem na to drugie.

Tym razem też nie byłam zachwycona widokiem jego rozradowanej twarzy. Sorki, nie chciałem przeszkadzać – usprawiedliwił się, widząc moją minę. – Ale... mam tu... o... takie coś...

Zamiast dokończyć, podał mi dość amatorsko zaprojektowaną ulotkę, która okazała się folderem reklamującym zajęcia w pobliskim domu kultury.

Spojrzałam na niego z miną z serii: „A co mnie, do cholery, obchodzą jakieś cholerne zajęcia w jakimś cholernym domu kultury?!”.

Niezrażony wskazał zakreślony czerwonym flamastrem fragment, a ja zrozumiałam, że w swojej fajności zrobił to specjalnie dla mnie, żebym nie musiała się wysilać, szukając go wśród informacji o zajęciach plastycznych dla mniej lub bardziej utalentowanych młodych artystów; zumbach dla pań marzących o jędrnych pośladkach tudzież lekcjach gry na gitarze elektrycznej dla niespełnionych rockmanów.

– O tu! – uzupełnił komunikat niewerbalny komunikatem werbalnym, żebym przypadkiem nie pomyślała, że chodzi mu o jakiś inny, niezakreślony fragment.

Przeczytałam tych kilka zdań i nagle... To niewiarygodne, jak szybko może się człowiekowi zmienić nastrój. W ciągu kilku sekund dół, schiza, depresja, poczucie jakiegoś totalnego bezwładu przeszły w trudną do opisaną ekscytację. Poczulałam tak gwałtowny przypływ energii, że jeszcze przez kilka godzin nie miałam pojęcia, co z nim zrobić – ostatecznie poszłam biegać mimo paskudnej pogody.

W jednym trzeba przyznać Dregerowi rację. Znacznie trudniej opisać pozytywne emocje niż psychiczne doły. Ja przykładowo potrafię zapisać całe strony malowniczymi opisami swoich stanów depresyjnych, a nie jestem w stanie skłecić choćby dwóch sensownych zdań na temat entuzjazmu, jaki mnie wówczas ogarnął. Dlatego ograniczę się do zacytowania komunikatu, który wprawił mnie w tak niecodzienne ożywienie:

Dom Kultury Taki A Siaki

Ogłaszamy nabór na zajęcia Klubu Literackiego

*Spotkanie organizacyjne 8 października (środa) o godzinie 18.00.
Zapraszamy młodzież i dorosłych!*

Przynieście swoje wiersze, opowiadania, eseje...

Tu mała dygresja. Nie jestem entuzjastką, że tak się wyrażę, pisania „w chórze” i zawsze zlewałam tego typu inicjatywy (no, może poza jednym niezbyt udanym podejściem w gimnazjum). Tym razem zrobiłabym pewnie to samo, gdyby nie ostatnie zdanie anonsu:

Zajęcia prowadzi...

Po słowie „prowadzi” nie było, rzecz jasna, wielokropka, dodałam go sama, by zwiększyć napięcie. No bo... zgadnijcie, kto je poprowadzi? No kto?

MARCIN DREGER!!!

Tu znów muszę dodać, że w ulotce nie użyto wielkich liter ani tym bardziej wykrzykników. Najwyraźniej fakt, że Klubem Literackim zajmie się jeden z najlepszych, najbardziej oryginalnych, najniezwykleszych polskich pisarzy, nie wywołał na autorach folderu tak dużego wrażenia jak na mnie. Pojawiły się one (to znaczy wykrzykniki) wyłącznie w mojej głowie.

Poniżej była jeszcze króciutka notatka na temat kariery prowadzącego, czyli, jak to określono, „instruktora” (o fuj!), na wypadek gdyby młodzi adepci literatury nie wiedzieli (o zgrozo!), kto zacz. Nie zawierała ona jednak nic innego, czego nie wiedziałam o Dregerze wcześniej.

Teraz chyba się nie dziwicie, że totalnie mnie zatkało. Nie dość, że mam szansę na regularny kontakt (może nawet przyjaźń) z jednym z moich najulubieńszych pisarzy, to na dodatek wieść o tym przyszła do mnie dokładnie wtedy, kiedy czytałam jego książkę. Trudno oprzeć się wrażeniu, że to nie przypadek, że zadziałała tu jakaś „znacząca koincydencja” (Dreger często wspomina w *Kosmitach* o tym opisanym przez Junga zjawisku), karma, los, przeznaczenie...

Na kilka chwil zapomniałam o obecności Krzysztofa.

Znacie ten dziwny stan absolutnej, mimowolnej koncentracji? Jakby to, na co właśnie patrzymy, stawało się całym światem? Tak właśnie się czułam. Tych kilka zakreślonych czerwonym flamastrem zdań stało się na kilka sekund wszystkim.

Krzysztof, przeciwnie, nie tylko o mojej obecności nie zapomniał, lecz, zdaje się, doświadczał jej ze wzmoczoną intensywnością. Podczas gdy ja trwałam w odlocie (o ile w ogóle da się w nim trwać, pojęcie to kojarzy mi się jakoś bardziej dynamicznie), on z wielką uwagą obserwował zmiany w ekspresji mojego oblicza. Najwyraźniej bardzo był z tego zadowolony, bo kiedy wreszcie przypomniałam sobie o jego istnieniu i podniosłam oszołomione spojrzenie na jego przeciwe oblicze, malował się na nim wyraz, że tak się wyrażę, empatycznej satysfakcji. Potem mój dobroczyńca przeniósł wzrok na okładkę trzymanej przeze mnie książki i rozpromienił się jeszcze bardziej.

I jak go nie lubić, sami powiedzcie!

Swoją drogą, strasznie to wzruszające, że zadał sobie trud i wybrał się do tego lokalnego przybytku kultury specjalnie po to, żeby poszukać dla mnie jakichś fajnych zajęć.

Czemu jednak muszę czekać prawie dwa miesiące? No czemu?! Jak ja tyle czasu wytrzymam?!

PS Z tego wszystkiego po bieganiu zaczęłam szperać w necie i przeczytałam chyba wszystko, co można o nim (to znaczy o Dregerze) znaleźć. Odkryłam również, że ma profil na Facebooku. Wiem, że to głupie i strasznie dziecinne, ale wyobraziłam sobie, jak fajnie będzie przeczytać: „Mada Jasnowska i Marcin Dreger są teraz znajomymi”.

Ludziska (to znaczy ci z nowej szkoły, bo towarzystwo z mojego gimnazjum olewało literaturę) z pewnością pękną z zazdrości.

Etykiety: uczucia; matka; bliskie osoby; relacje;
dobre rzeczki; moje pisanie; tu i teraz

wtorek, 19 sierpnia

Smuteczek

No i tajemnica się wyjaśniła. Matka skądś wyczała, że w domu kultury są zajęcia dla młodych mam (młodych? he, he... a to dobre!) i poprosiła Krzyśka, żeby zrobił research. A ja, głupia, myślałam, że on dla mnie...

Etykiety: uczucia/emocje; bliskie osoby; matka; relacje; tu i teraz

środa, 20 sierpnia

Wstęp

Wypadałoby napisać parę słów o sobie. Na imię mam Magda, lecz znajomi z Solechowa (miejscowości, w której do niedawna mieszkałam) mówili na mnie Magdzioł. Pewnie dlatego, że jeszcze dwa lata temu wyglądałam jak wymi-zerowany chłopczyk lub raczej pozbawione płci indywiduum. Chuda, płaska, w okularach, z rudą (no dobra, rudawą), mocno przystrzyżoną czupryną – odkąd pamiętam, matka ścinała mi włosy na krótko, tłumacząc, że w ten sposób się wzmacniają.

Pamiętam, jakby to było dziś, jak w drugiej gimnazjum wybrałam się z dziewczynami z klasy do kina:

– Panienki mogą wejść – powiedziała bileterka. – Ale kawaler jest chyba za młody.

Mówiła O MNIE. Wyobraźcie sobie, jak się poczułam. Nie dość, że gówniara, to na dodatek chłopczyk. KAWA-

LER, jak się raczyła wyrazić korpulentna strażniczka moralności nieletnich kinomanów.

Od tamtej pory zaczęłam nosić sukienki (wcześniej dla wygody prawie zawsze chodziłam w spodniach) i wymusiłam na matce, by wreszcie pozwoliła mi zapuścić włosy.

Potem, ku swemu zaskoczeniu i w ekspresowym tempie, przeobraziłam się w biuściastą babę (zupełnie jakby moje cycki nagle i mocno nadgorliwie postanowiły nadrobić zaległości), zaczynając się przy ziemi parą trampek z różnobarwnymi sznurowadłami i zakończoną od góry chmurą (to określenie Agnieszki) kręconych włosów, o które matka wciąż robi mi awantury, że niby wreszcie powinnam je uczesać. Słowem (a właściwie kilkoma słowami): potargana, cycata baba w kolorowych trampkach.

Fakt tej zaskakującej metamorfozy skonstatowałam ze zdziwieniem mniej więcej pół roku temu i do dziś nie dążyłam się z nią oswoić. Ludziska z klasy też chyba nie załapali, bo pozostałam Magdziołem do końca gimnazjum.

Z kolei znajomi z obozu, na którym byłam podczas ostatnich i przedostatnich wakacji (i który uwielbiam!), mówią na mnie Mada. Nie wiem, skąd im się to wzięło, ale bardzo to lubię. Bo w ten właśnie sposób mówiłam o sobie, kiedy byłam mała, o czym ani Agnieszka, ani Jacek, ani w ogóle nikt z obozowego towarzystwa nie mógł przecież wiedzieć. Jasnowidze jacyś, czy co?

Teraz mam szesnaście lat i za chwilę zacznę chodzić do liceum. Jest to moja prawie wymarzona szkoła. Kiedy już było wiadomo, że przenosimy się do Warszawy, zdałam sobie sprawę, że mam szansę wystartować do jakiejś superhipermegawypaśnej klasy o profilu artystycznym. W Solechowie niczego takiego nie uświadczysz. Najwyżej w Olsztynie, ale

to by się wiązało z dojazdami, a może nawet zakwaterowaniem w internacie, na co matka nigdy by nie poszła. Zaczęłam więc nadrabiać rozmaite zaległości, bo muszę przyznać, że nie byłam w gimnazjum szczególnie pilną uczennicą, wręcz przeciwnie. Niestety wpadłam na ten genialny pomysł (to znaczy, żeby przyłożyć się do nauki) trochę za późno. Dlatego, zamiast do wymarzonego, dostałam się do prawie wymarzonego liceum, ale uważam, że to i tak wielki wyczyn.

Do pisania dziennika zachęciła mnie pewna ważna dla mnie osoba. Zbierałam się do tego już od pewnego czasu, ale chyba zbyt wiele się działo i dopiero dość nudna końcówka wakacji sprawiła, że zasiadłam przed kompem i zaczęłam stukać w klawisze. To znaczy skrobałam w czasie wakacji jakieś wiersze, robiłam notatki, spisywałam pomysły itede, itepe, ale nie potrafiłam się skupić na czymś bardziej regularnym.

Prawdę mówiąc, wcześniej też pisałam dzienniki – od dwunastego do piętnastego roku życia – ale potem, z powodów, które na razie wolałabym przemilczeć, zrobiłam sobie przerwę. Najwyraźniej są sprawy jeszcze trudniejsze do opisania niż wspomniane w pierwszym wpisie pozytywne emocje. Ogólnie rzecz biorąc, miniony rok był dla mnie dość hardkorowy. Cud, że nie zwariowałam od tego wszystkiego.

Próbowałam też, jak niektóre z moich koleżanek, prowadzić bloga (anonimowo!). Ale świadomość, że ktoś będzie czytał moje wynurzenia, nie pozwoliła mi, że tak się wyrażę, wynurzać się. Bałam się, że ktoś mnie rozpozna na podstawie opisanych w blogu wydarzeń, miejsc albo postaci. Zmieniłam więc ustawienia prywatności, tak by na stronę mogły wchodzić wyłącznie wybrane przeze mnie osoby, ale nie zna-

lażłam nikogo, komu zdecydowałabym się powierzyć hasło do moich historii.

Nie podałam go nawet Agnieszce, choć zwierzam się jej z megaosobistych spraw, ale to jednak wielka różnica: mówić komuś a pisać dla siebie.

W efekcie znów zmieniałam ustawienia prywatności, tak że bloga mogłam czytać tylko ja.

– Przecież to kompletna paranoja pisać bloga, którego nikt nie będzie czytał – skomentowała mój pomysł Aga.

– Jak to nikt! – Wzruszyłam ramionami. – A ja?

W odpowiedzi Agnieszka popukała się w głowę z ekranu laptopa (jak zwykle gadałyśmy przez Skype'a). Nie wzięła pod uwagę, że to nie tyle blog, co intymny dziennik pisany z wykorzystaniem dostępnych w ramach tego medium udogodnień, takich jak automatyczne datowanie, etykiety, możliwość pisania z każdego komputera czy smartfona na świecie, choć nie wiem, po co mi to ostatnie, bo do tej pory zbyt wiele nie podróżowałam. Za granicą byłam tylko dwa razy: u wujka, który mieszka w Anglii, i na Słowacji. Nie mówiąc o tym, że i tak prawie nigdy nie rozstaję się ze swoim laptopem.

Kiedy uświadomiłam sobie, że nikt nie będzie czytał moich wynurzeń, hamulce puściły i zaczęłam się wybebeszać. Bez przesady, ale jednak. Następnie, pod wpływem, że tak się wyrażę, świadomości wybebeszania się złapałam schizę, że ktoś (na przykład z mojej klasy) zhakuje hasło i wszystko udostępni. Lub zrobi coś jeszcze gorszego, choć nie wiem, co mogłoby być straszniejsze.

Ostatecznie zrezygnowałam z bloga-pamiętnika na rzecz ogólnodostępnego bloga z recenzjami czy może raczej refleksjami na temat przeczytanych właśnie książek (kilka wpi-

sów poświęciłam Dregerowi), ale i to ostatnio zaniedbałam. Teraz wracam do pisania dziennika w tradycyjnej formie, to znaczy w plikach tekstowych ukrytych w moim kompie. Postanowiłam jednak zachować charakterystyczną dla bloga strukturę – tak mi łatwiej, bo jakoś się do tego przyzwyczałam. Są więc daty, które teraz muszę wpisywać na piechotę, tytuły i etykiety. To ostatnie ma dla mnie szczególne znaczenie, ponieważ ważna osoba, o której wspomniałam, podpowiedziała, żebym pisząc codzienne notatki, zwracała uwagę na pewne tematy. Im bardziej tekst będzie nimi nasycony, tym lepiej.

Etykiety: uczucia/emocje; matka; bliskie osoby; znajomi; moje pisanie; moja historia

Wydawnictwo NASZA KSIĘGARNIA Sp. z o.o.

02-868 Warszawa, ul. Sarabandy 24c

tel. 22 643 93 89, 22 331 91 49,

faks 22 643 70 28

e-mail: naszaksiegarnia@nk.com.pl

Dział Handlowy:

tel. 22 331 91 55, tel./faks 22 643 64 42

Sprzedaż wysyłkowa: tel. 22 641 56 32

e-mail: sklep.wysylkowy@nk.com.pl www.nk.com.pl

Książkę wydrukowano na papierze
Creamy Hi Bulk 60 g/m² wol. 2,04.

ZING

Redaktor prowadzący *Katarzyna Piętka*

Opieka redakcyjna *Joanna Kończak*

Redakcja *Ewa Ressel*

Korekta *Ewa Mościcka*

Opracowanie DTP, redakcja techniczna *Agnieszka Dwilińska-Luc*

ISBN 978-83-10-12859-1

PRINTED IN POLAND

Wydawnictwo „Nasza Księgarnia”, Warszawa 2016 r.

Wydanie pierwsze

Druk: Zakład Graficzny COLONEL, Kraków